

Tranzytem przez dzungle

07.06.2007.

Jak pomysleliśmy, tak zrobiliśmy. Rano spakowaliśmy manatki i ruszyliśmy w trzypoldniowy tranzyt z Salvadoru do Panamy niezliczonymi chicken- i peoplebusami i nawet jednym Ticabusem. Ale po kolei...

Najpierw dalismy sie nagonic do ekspresowego autobusu z klimatyzacja, jadacego do San Miguel. Tam sprawnie i bezbolesnie przesiedlismy sie w autobus do El Amatillo. Granice przekroczyliśmy właśnie tam, z wyluzowanymi celnikami przeglądającymi nasze paszporty i nie dającymi nam pieczatek. Ale za to dającymi (hondurascy) dowod wniesienia opłaty migracyjnej w wysokości 3\$. Mijmy nadzieje ze to wystarczy przy wyjeździe, choc przewodnik straszy nas wiezieniem w przypadku nieposiadania stempelka. Coz - przekonamy sie juz jutro. Za granica czeka na nas usmiechniety minibusiarz i oferuje transport dokladnie tam, gdzie chcemy - do Choluteci, mniej wiecej w polowie naszej drogi do granicy nikaraguaskiej. W Cholutece ladujemy ok. 17, wiec postanawiamy wlasnie tu zrobic pierwsza przerwe nocna w tranzycie. Za rada sympatycznego tubylca, mowiacego niezle po angielsku wybieramy hotel Pacifico, gdzie za bardzo dobra cene dostajemy wielkie lozko, telewizor, wiatrak i wlasna lazienke. Na kolacje wybieramy Wendy's - najlepsza naszym zdaniem hamburgerownie amerykanska, ktora poznalismy w USA. Wieczorny spacer po miasteczku owocuje napotkaniem wystepow lokalnego domu kultury z tancami ludowymi na czele. Zostajemy nawet zaproszeni do wspolnego finalnego tanca.

Rano wraz z kompletem pasazerow w minibusie zajeżdżamy na granice nikaraguaska. Tu pierwszy raz w Ameryce Centralnej slyszymy z ust tubylcow wykrzykiwane haslo 'gringos', na ktore zbiegaja sie do nas dziesiatki chodzacych kantorow, pomagierow, taksowkarzy lub po prostu ciekawskich. Wszyscy chca nam poniesc plecaki, wszyscy chca wskazac odpowiednie okienko i wszyscy chca dostac od nas chocby jednego dolara. Jesteśmy twardzi. Z bijacymi sercami oczekujemy na werdykt celnika honduraskiego: wypusci czy nie wypusci? Okazuje sie, ze zadna pieczatka wjazdowa nie jest mu potrzebna i sam szybko wstawia nam wjazdowa. A tak straszyli... Uff...

Wjazd do Nikaragui kosztuje nas najwiecej z dotychczasowych wjazdow. Ten najbiedniejszy z krajow Ameryki Centralnej zyczy sobie od nas po 7\$ opłaty migracyjnej i po 1\$ dla Alcaldii. Ki czort??? Na rynku w miejscowosci granicznej Guasaule informuja nas, ze nie dojedziemy stad bezposrednio do stolicy - Managuy, musimy koniecznie jechac teraz powoli zapełniającym sie minibusem do niedalekiej Chinandegi i tam przesiadac sie. Nasz przewodnik uparcie twierdzi ze autobusy do Managuy jezda z tej granicy, ale skoro nie widzimy zadnego to moze trzeba skorzystac z rad tubylcow. Czekamy do zapełnienia ostatniego miejsca w minibusie i ruszamy. Po kilkunastu kilometrach mija nas autobus z Managuy do Guasaule. Hmm... Skoro jedzie w te strone, musi jechac rowniez z powrotem. A nasz kierowca tylko sie do nas szczyrzy w lusterku. Lobuz... W Chinandedze lapie nas bardzo obfity deszcz i po poznym sniadaniu, brodząc po kostki w wodzie wsiadamy do chickenbusa zmierzajacego prosciusienko do stolicy. Tu rowniez nie zamierzamy zostac, na dworcu przesiadamy sie w autobus do Rivas, skad do granicy kostarykanskiej zostanie nam jeszcze godzina drogi. W Rivas wysiadamy z autobusu wprost na drzwi hotelu, w którym postanawiamy zostac. Na kolacje kurczak w winie i lokalny rum z cola.

Rano przy szlabanie wjazdowym do miasta (za wjazd pobierana jest oplata) wskakujemy do autobusu do granicy (do chickenbusa zawsze wskakuje sie w biegu slyszac poganiajace pokrzykiwania naganiacza i czujac na plecach jego popychajace dlonie). Wjazd z Nikaragui kosztuje nas po 2\$ plus 1\$ dla Alcaldii (caly czas nie wiemy co to). Oplata przyjmowana jest w dolarach, bardzo niechetnie w cordobach. Ale rano jestesmy chyba pierwszymi, którzy placa (nie wiemy czy tubylcow oplata tez obwiazuje, czy nie, ale nie klocimy sie zbytnio bo dostajemy nawet duzy rachunek z wieloma pieczatkami i podpisem), bo pan celnik nie ma nam jak wydac reszte. Tu bardzo pomocne okazuja sie dwunozne kantory, ktore na wezwanie mundurowego potulnie rozmieniaja nasze dolarki na drobne. Po stronie kostarykanskiej w klimatyzowanej sali dostajemy pieczatki od usmiechnietego pana celnika. Milo.

Kupujemy bilety na autobus do San Jose na godzine 13.30. Kolo 12 zaczyna ustawiac sie dziwnie dluga kolejka. Po 20 minutach podjeżdża nieoznakowany autobus i wszyscy sie do niego rzucaja. Pewnie to jakis wczesniejszy i my sie na niego juz nie zalapalismy. No ale nie zaszkodzi zapytac. Okazuje sie, ze do tego autobusu laduja sie wszyscy, niezaleznie od tego, na ktora godzine maja wykupione bilety. Radza nam tez wsiadac, bo nie wiadomo kiedy przyjedzie nastepny. Jak to nie wiadomo??? Przyjedzie zeby nas zabrac o 13.30. Aaa to wcale nie jest takie pewne. Lepiej jechac tym skoro juz jest. Tak wiec wsiadamy i oczom naszym ukazuje sie wizja spedzenia 6 godzin na stojaco. Pytamy jak sobie to wyobrazaja.

Obiecuja że za godzinę zrobi się znacznie luzniej, bo ludzie wysiada w Liberii. W końcu jednak znajdujemy dwa wolne miejsca w przeciwległych końcach autobusu. Jakos dojedziemy...

Po kilku (jesli nie kilkunastu) przystankach na kontrole dokumentów wszystkich pasazerów (chyba Kostaryka bardzo boi się imigrantów z biedniejszej Nikaragui), niektórych odległych zaledwie o kilka kilometrów i jednym dłuższym w zaprzyjznanym barze na obiad, w końcu docieramy do San Jose. Słońce już zaszło, pada deszcz, jakos tak smutno. Ale tu znow nie chcemy się zasiedzieć. O godzinie 22.00 powinniśmy odejść Ticabusem do Panamy. Ticabus to 'nice stuff' jak powtarzają nam amerykańscy turyści. To klimatyzowane, nowoczesne autobusy a telewizorami, kursujące między stolicami państw Ameryki Centralnej, z wysokimi cenami wyrażonymi w dolarach i obsługa prawie po angielsku. Do tej pory skutecznie się przed tym wzbraniałismy, szczególnie że za całą pokonaną trasę zapłaciliśmy o połowę mniej niż by to kosztowało w Ticabusie, a Ticabus nawet nie jeździ nocami, żeby można to było potraktować jako nocleg. Dlatego dużo bardziej odpowiadał nam do tej pory nasz sposób podróżowania z noclegami w tzw. interiorze a nie w samych stolicach, gdzie ponoc może być drogo i niefajnie. Ale ta trasa zajmuje aż 18 godzin i siła rzeczy zahacza o noc. Wprawdzie kosztuje 26\$, ale otrzymamy za to klimatyzowany nocleg i kino w jednym. Musimy tylko znaleźć ich biuro i kupić bilety (miejmy nadzieję że się zmieścimy w dzisiejszym kursie). Wedrujemy zatem przez miasto w ulewnym deszczu kierując się wskazówkami z naszego przewodnika. Nie jest to łatwe, gdyż w San Jose nie ma dokładnych adresów. Wszystkie lokalizacje określa się w skrzyżowaniach ulic. I tak terminal Ticabus powinien znajdować się na Avenidzie 4 pomiędzy Calle 9 i 11. Po półgodzinie marszu i kilkakrotnym pytaniu tubylców (nazw ulic generalnie brak) w końcu znaleźliśmy w przewidywanym miejscu biuro informacji, że kilka miesięcy temu, dla wygody turystów uruchomiono nowy terminal 2 bloki na północ i jeden blok na zachód od czegoś o nazwie Mercedes... No dziękujemy. Tubylcy znow okazują się ostatnią deską ratunku. Dowiadujemy się że biurowiec Mercedes znajduje się w przeciwnym końcu miasta, jakieś 10 minut spacerkiem od terminala autobusowego, na który przyjechalismy jakiś godzinę wcześniej. Super. Dla wygody turystów... Jakos trafiamy, bilety są, uff... Zdzamy jeszcze nawet zjeść kolację w Pizza Hut. W autobusie dowiadujemy się w toalecie będącej na wyposażeniu pojazdu można robić tylko siusiu. To się nazywa komfort. Przecież mogliby ten przybytek wogóle zamknąć na klucz. Ale wspaniałomyślnie pozwalają nam tam siusiac. Nice stuff? Przed snem jakiś sensacyjny film z siedzeniami poprzedzających nas Amerykanów na naszych kolanach. Nice stuff... Tylko ludzie nie zawsze nice.

Noc kończy się szybko pobudka na granicy kostarykańsko-panamskiej ok godziny 5.00. Strona kostarykańska otwiera okienko o 6.00, ale nasi kierowcy już radzą zająć kolejke. O 6.45 zdobywamy pieczątkę wyjazdową i spacerkiem wkraczamy do Panamy. Tu znow czekamy w kolejce i obserwujemy kolejne osoby odchodzące od okienka z kwitkiem zmuszającym ich do wykupienia biletu wyjazdowego z Panamy. Ticabus ma tu sprytnie swoje biuro i chętnie takie bileciki sprzedaje zapewniając po cichu, że w Panama City będzie można je zwrócić z niewielką, 15% stratą. Ktoś tu komus napędza klientów starając się przekonać nas jednocześnie, że wkraczamy do jakiegoś raj. Niezrażeni doświadczeniami naszych współpasażerów obsługiwanych przed nami, grzecznie pokazujemy nasze bilety lotnicze na trasę Meksyk-Fiji-Australia-Japonia. Mamy nadzieję że pan celnik zrozumie, że musimy wrócić do Meksyku, żeby kontynuować naszą podróż, a więc na pewno wyjedziemy z Panamy. Pan celnik cmokając i chrzając długo przegląda te nasze bilety i po dłuższej chwili zadaje nam pytanie pomocnicze: dokąd będziemy się kierować po wyjeździe z Panamy. Chorem odpowiadamy, że do Meksyku i to przesadza sprawę - dostajemy pieczątki wyjazdowe i jakieś naklejki do paszportu z napisem 'turistico' za 1\$. Lepsze to niż kupować niepotrzebne bilety. Kiedy myślimy, że już po wszystkim, zostajemy odesłani do naszego autobusu po bagaże i mamy się z nimi stawić wszyscy w niezbyt dużym pomieszczeniu. Tu dajemy sobie pomóc nasze brudne rzeczy przygotowane do prania i cudowne rece celnika stwierdzają od razu, że nie przemycamy niczego. Po przemacaniu wszystkich toreb możemy wreszcie jechać dalej. Po 4 godzinach na granicy kierowcy kują nasze skolatanne nerwy 'Gladiatorem'.